

 Harlequin® *Świątowe Życie*®



Maggie Cox
Samba we dwoje

Maggie Cox
Samba we dwoje

Tłumaczyła
Joanna Pawełek-Mendez

Tytuł oryginału: Brazilian Boss, Virgin Housekeeper

Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 2010

Redaktor serii: Marzena Cieśla

Opracowanie redakcyjne: Marzena Cieśla

Korekta: Hanna Lachowska

© 2009 by Maggie Cox

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2012

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Światowe Życie są zastrzeżone.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTeXt®, Warszawa

ISBN 978-83-238-8500-9

ŚWIATOWE ŻYCIE – 353

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nic jej nie mogło powstrzymać. Nawet pogoda, która nie była wcale lepsza od tej panującej na mroźnej Syberii, pomyślał Eduardo. Przez ostatnie trzy tygodnie niemal każdego dnia pojawiał się na słynącym ze swojej ciekawej historii małym, urokliwym ryneczku miasta i za każdym razem spoglądał na młodą kobietę, która grała na gitarze pełne smutku melodie. Przypominała mu biedne, porzucone dziecko z nowel Dickensa. Czyżby nie miała rodziców albo kogokolwiek, kto mógłby się nią zaopiekować? Najwi-
doczniej nie...

Eduardo zdał sobie sprawę, że dzięki tej biednej dziewczynie, zarabiającej na swoje utrzymanie śpiewaniem na ulicy, po raz pierwszy pomyślał o czymś innym niż własne nieszczęście. Ból towarzyszył mu od dawna, na długo przed tym, zanim się zdecydował zamienić gorącą, pachnącą słońcem i kwiatami Brazylię na pochmurną, wilgotną Anglię.

Przypatrywał się dziewczynie z prawdziwym zainteresowaniem. Obudziła się w nim ciekawość, kim jest ta „dziewczynka z zapalkami” czy też „z gitarą”. Kto wie, czy zobaczy ją następnego dnia? Mogła przecież po tych kilku tygodniach zmienić miejsce, a wtedy nigdy się już nie pozna jej historii pisanej przez życie, a nie Andersena.

Wyciągnął banknot z portfela i rzucił do pokrowca na gitarę, zaraz jednak przykucnął i dorzucił pięćdziesięciocentową monetę, aby wiatr nie porwał papierowego banknotu.

– Ładna piosenka – mruknął cicho, jakby się nagle zawstydził.

– Dziękuję... ale to za dużo – zaprotestowała, odkładając instrument na bok.

Uchwycił jej spojrzenie, ale zamiast radosnego podekscytowania, zawstydzenia czy wdzięczności dostrzegł dumę i złość.

– Za dużo? – powtórzył, unosząc brew. Czyżby się pomylił? Czy tak zareagowałyby biedna „dziewczynka z zapalkami”?

– Owszem. Jeśli chce pan rozdawać jałmużnę, to tuż za rogiem jest kościół Świętej Marii, gdzie księża zbierają datki na bezdomnych. Ja nie jestem bezdomna i nie potrzebuję pańskiego miłosierdzia.

– Ale w twoim futerale leży mnóstwo monet – obruszył się, wskazując ręką. – Czy nie po to tu siedzisz? Nie dlatego tu grasz i śpiewasz?

W jego głosie brzmiała irytacja. Z miejsca pożałował swojej decyzji, podyktowanej spontanicznym odruchem serca. Dlaczego w ogóle marnuje czas, rozmawiając z tą dziwną dziewczyną? Powinien natychmiast odejść, pozostawiając ją samą z jej pokrętną filozofią i miedziakami w futerale, ale jakoś nie mógł zrobić kroku.

– Śpiewam, bo bardzo to lubię, a nie dla pieniędzy. Nigdy nie robił pan niczego, aby po prostu podzielić się swoją miłością do czegoś? Bez żadnych ukrytych celów?

To pytanie zbiło go z tropu. Choć zawsze potrafił szybko zareagować odpowiednią ripostą, tym razem jakoś nic nie przychodziło mu do głowy. Śmieszne! Nie tracił zimnej krwi w konfrontacji z rekinami finansowymi, a pokonała go dziewczyna z gitarą.

– Ja... – wyjąkał. – Muszę już iść.

Jego twarz, co zresztą nie było niczym niezwykłym, wyrażała chłód i obcość.

– Nie zatrzymuję pana – odparła dziewczyna. – To pan chciał rozmawiać.

– Wcale nie chciałem z tobą rozmawiać – zaprotestował podniesionym głosem, zupełnie jakby odpierał ciężkie oskarżenie.

– Oczywiście, że nie. Chciał pan tylko okazać swoją wielkoduszność, by potem odejść z poczuciem, że spełnił pan dobry uczynek. Czy nie tak?

– Jesteś niemożliwa!

Z tymi słowami odwrócił się na pięcie i odszedł. Jeszcze kiedy skręcał w jedną z mniejszych uliczek, słyszał jej czysty głos i akompaniament gitary. Co za diabeł go podkusił, aby się nad nią litować? Z pewnością nie było to skromne, dickensowskie dziewczątko, za jakie ją do tej pory uważał. I dlaczego jej duma, jej ostre spojrzenie tak go rozdrażniło? Czy nie trafiła w sedno? W głowie pobrzmiwały mu jej słowa: „Czy nigdy nie robił pan niczego, aby po prostu podzielić się swoją miłością do czegoś? Bez żadnych ukrytych celów?”.

Powłóczył nogami, nawet nie omijając kałuż. Nagle zrobiło mu się wszystko jedno, dokąd idzie i po co. A wszystko przez dziewczynę, która odrzuciła jego pomoc i uraziła dumę...

Temperatura powietrza gwałtownie spadła, co sprawiło, że Marianne przestała czuć zdrętwiałe z zimna palce i z wielkim trudem wydobywała z siebie głos. Uznała, że najwyższy czas zakończyć na dzisiaj. Przez chwilę rozkoszowała się myślą o filiżance gorącej czekolady i o ogniu w kominku czekającym na nią w domu, ale po chwili przypomniała sobie, że poza ciepłem płomieni i smakiem czekolady przywita ją także pustka. Dudniące echem mauzoleum, gdzie wszystko, począwszy od pięknych ornamentów

zdobiących ściany, a skończywszy na wspaniałym pokoju muzycznym, pośrodku którego dumnie prezentował się fortepian, przypominało jej ukochanego męża i przyjaciela, który odszedł od niej zbyt wcześnie.

„Żyj pełnią życia, kiedy mnie zabraknie” – powiedział jej Donal, kiedy siedziała przy jego szpitalnym łóżku. Te słowa, wypowiedziane drżącym głosem, i jego poważny, smutny wzrok przeraziły ją, gdyż nie pozwalały mieć już żadnej nadziei. „Sprzedaj ten cholerny dom i wszystko, co się w nim znajduje. Wyjedź gdzieś, poznaj świat, podróżuj... spotykaj się z ludźmi i... żyj! Na litość boską, żyj za nas dwoje!”.

Zamierzała spełnić jego wolę, ale jeszcze nie teraz. Czowała się bardzo samotna i zagubiona, zupełnie jakby w jej życiu zabrakło kompasu wskazującego bezpieczną drogę. Pozostała pustka i świadomość, że nie ma nikogo, komu by na niej zależało. Zamierzała konsekwentnie wyrwać się z tego stanu, powoli, ale z sukcesem. Bycie uliczną artystką mogło się wydawać dziwną metodą podźwignięcia się z żaloby, ale spełniało swoją funkcję. W przeciwnym razie siedziałyby w domu przy zasłoniętych żaluzjach, rozpamiętując chwile, które nie mogły się już powtórzyć. Kontakt z ludźmi wyzwolił w niej chęć do walki. Z każdym dniem była coraz silniejsza, zupełnie jakby muzyka, przez

którą wyrażała swoje uczucia, ocaliła ją przed całkowitym załamaniem.

Donal z pewnością byłby z niej dumny, że tak świetnie sobie radzi, pomimo że jego dwoje dorosłych dzieci z poprzedniego małżeństwa uznało, że skoro Marianne śpiewa na ulicy, to najlepszy dowód na to, że coś z nią jest nie w porządku. Dowód, że od początku wywierała niekorzystny wpływ na ich ojca, który w testamencie przepisał wszystko na nią, całkowicie pomijając własne potomstwo.

I nagle Mariannne, zupełnie nie wiadomo dlaczego, przypomniła sobie nieznanego, który rzucił do futerału pięćdziesięciofuntowy banknot. Nie tylko wyglądał na zamożnego światowca, obracającego się w najwyższych kręgach towarzyskich, ale również tak pachniał. Mówił nienaganną angielszczyzną z lekkim akcentem, może Ameryki Południowej?

Po powrocie do domu, kiedy trzymała już w dłoniach wymarzony kubek gorącej czekolady, grzejąc się przy kominku, raz jeszcze powróciła myślami do mężczyzny, który tak silnie zajął jej uwagę. Pierwszy raz w życiu widziała u kogoś takie niezwykle niebieskie oczy. Barwę przypominały jej lekko zachmurzone niebo w czasie mroźnej zimy, rzęsy zaś były równie ciemne jak gęsta czekolada w jej kubku.

Mężczyzna miał orli nos, wysokie kości po-

liczkowe i usta o ładnym, pasującym do całej twarzy kształcie, a jednak w dziwny sposób zaciśnięte, jak gdyby uśmiech mógł mu sprawić fizyczny ból.

Zdążyła z nim zamienić zaledwie kilka słów, ale miała wrażenie, że ten człowiek, pomimo swojej hojności, jest twardy i zamknięty w sobie jak twierdza, do której nie mają dostępu nawet najbliżsi.

Marianne pożałowała swojego zachowania. Niemal z pogardą odrzuciła jego pomoc. Oskarżyła go o to, że robi to wyłącznie po to, aby samemu się dobrze poczuć. Była niesprawiedliwa. Skąd on mógł wiedzieć, że po tragedii, jaką przeżyła, przyrzekła sobie, że nigdy więcej nie przyjmie od nikogo pomocy? Skąd mógł wiedzieć, co czuje kobieta, która po piekle dzieciństwa z ojcem alkoholikiem zaznaje wielkiego szczęścia w małżeństwie, które po sześciu miesiącach przerywa śmierć.

Nieznajomy jednak miał w twarzy coś, co pozwalało jej sądzić, że i on ma za sobą jakieś trudne doświadczenie i najwyraźniej nie uporał się jeszcze z dręczącymi go demonami. Marianne pragnęła go przeprosić, ale odszedł tak szybko. Pewnie i tak go już więcej nie zobaczę, pomyślała i upiła łyk czekolady. Nawet nie zauważyła, że ta już dawno wystygła...

– Znowu nadwerężyłaś nogę, prawda?

– Na litość boską, nie jestem dzieckiem.

– Eduardo, patrząc na cierpką minę swojego lekarza, marzył, aby te wizyty raz na zawsze się skończyły. Niestety, po dziewięciu operacjach, którym musiał się poddać ze względu na swoją roztrzaskaną nogę, potrzebował opieki lekarskiej, a Evan Powell z Londynu był światowej sławy ortopedą, najlepszym w swoim fachu specjalistą. Właśnie ktoś taki był mu niezbędny.

– Weź sobie do serca moją radę i przestań traktować swoje ciało jak maszynę.

– Powiedziano mi, że wkrótce będę już zupełnie sprawny. Dlaczego, do diabła, to trwa tak długo?! – zawołał z wyrzutem.

– A spodziewałeś się, że po takim urazie, po dziewięciu ciężkich i skomplikowanych operacjach wyjdiesz z tego tak samo szybko jak z kataru? Potrzeba więcej czasu.

– Więcej czasu – burknął gniewnie. – Nic innego nie słyszę. Zaczynam wątpić w twoje umiejętności.

Eduardo natychmiast zdał sobie sprawę, że za daleko się posunął. Był wściekły i rozżalony, ale nie powinien wyładowywać swojej frustracji na człowieku, który walczył o jego zdrowie.

– Nie powinienem tak mówić, bardzo przepraszam – spróbował załagodzić, przeczesując ręką włosy. – Miałem po prostu ciężki dzień.

Evan Powell pokiwał głową na znak, że przyjmuje przeprosiny, a także, że rozumie humory swojego pacjenta.

– Może to, czego ci potrzeba, to towarzystwo – zasugerował, puszczając do niego porozumiewawczo oko. – Żyjesz zupełnie samotnie, a samotność nie wpływa korzystnie na żadnego mężczyznę.

Eduardo przymrużył oczy.

– Masz na myśli kobiety?

Zaskoczyło go, że po raz pierwszy od dwóch lat nie odrzucił z miejsca tego pomysłu, ale jeszcze bardziej zszokowało go to, że w odpowiedzi na tego rodzaju sugestię w jego umyśle pojawił się obraz dziewczyny grającej na jednym z rynków Londynu. Utkwiły mu w pamięci jej piękne oczy, kształtne wargi i burza brązowych włosów. Ile mogła mieć lat? Siedemnaście? Osiemnaście? Była dla niego stanowczo za młoda.

Poza tym nawet jeśli rzeczywiście potrzebował damskiego towarzystwa, to tylko dla chwilowej rozrywki. Po tym co się stało z Elianą, skończył z miłością raz na zawsze.

– Zwykle to kobieta najlepiej potrafi rozproszyc smutki mężczyzny – skwitował chirurg, ale widząc poważne spojrzenie Eduarda, chrząknął, mruknął coś niewyraźnie, po czym podjął już normalnym, spokojnym głosem: – W każdym

razie weź sobie do serca moją radę i uważaj na tę nogę. Dwadzieścia minut dziennie spaceru, najwyżej pół godziny, ale nie dłużej. No, to do zobaczenia.

Eduardo odprowadził Evana do drzwi i podał mu płaszcz.

– Dziękuję. Nie każdy lekarz osobiście fatygowałby się do swojego pacjenta. Proszę nie myśleć, że tego nie doceniam.

ROZDZIAŁ DRUGI

Marianne w przerwie swojego codziennego ulicznego występu popijała gorącą cafe latte z papierowego kubka, pragnąc rozgrzać ciało, ale przede wszystkim dłonie, które najtrudniej znosiły zimno i przejmujący, mroźny wiatr. Wydawało się, że popołudnie przyniesie poprawę pogody, ale Marianne nie miała wątpliwości, że robi się coraz chłodniej.

Zamyślona, lekko drżąc na całym ciele, popatrzyła przed siebie i nagle dostrzegła wysokiego mężczyznę zmierzającego prosto w jej stronę. To był on! Ten sam bogacz o niebieskich oczach. Próbowwała nie dać po sobie poznać, jak bardzo ucieszył ją jego widok.

– Dzień dobry – usłyszała jego niski, nieco zachrypnięty głos. Podniosła wzrok i mogłaby przysiąc, że w niewyraźnym grymasie jego warg dostrzegła coś na kształt uśmiechu.

– Witam – odpowiedziała nieco zawstydzona, choć zupełnie nie rozumiała dlaczego.

– Nie śpiewasz?

– Nie... Zrobiłam sobie przerwę, by się trochę rozgrzać.

Czy słyszał, jak bardzo drży jej głos? Czy ma świadomość, że sposób, w jaki na nią patrzy, onieśmiela ją? Jej mąż Donal nigdy tak na nią nie spoglądał. W jego oczach widziała zawsze łagodność i życzliwość.

– Jak idzie interes?

– W porządku. – Wzruszyła ramionami. Zerknęła na skromną kolekcję monet w futerale. – Jak już ci wczoraj mówiłam, nie robię tego dla...

– Pieniądzy. Pamiętam. Śpiewasz, ponieważ chcesz się podzielić z innymi swoją miłością do muzyki, czy tak?

– Tak – przyznała z wahaniem, przypominając sobie swoje obcesowe zachowanie. – Słuchaj, przepraszam, jeśli cię wczoraj uraziłam. Nie chciałam tego. Po prostu uważam, że są ludzie, którzy bardziej potrzebują pomocy. Tak naprawdę moja sytuacja nie jest taka zła, jak ci się wydaje. Pozory mylą.

– Cóż... Chciałbym, żebyś wiedziała, że tak jak mi radziłaś, dałem pieniądze w kościele dla bezdomnych. – Zamilkł na chwilę, po czym podjął pewnym głosem: – Nazywam się Eduardo de Souza.

Zdjął rękawiczkę i wyciągnął do niej dłoń.

Marianne przez jedną krótką, króciutką chwilę zawahała się, zanim podała mu rękę. I nagle pod wpływem tego dotyku poczuła ciepło, które przyjemnie zaczęło rozgrzewać całe ciało, mocniej niż tuzin kaw.

– Jestem Marianne... Marianne Lockwood. Nie jesteś z tych okolic, prawda?

– Obecnie mieszkam w Wielkiej Brytanii, ale masz rację, nie jestem stąd. Pochodzę z Brazylii, z Rio de Janeiro.

– Kraina samby, słońca i karnawału – podsumowała z uśmiechem, ale po chwili dodała speszona: – Przepraszam, pewnie już cię drażnią takie komunały.

– Wcale nie. Jestem dumny ze swojego kraju i z tego, co ma do zaoferowania.

– I wolisz przebywać tutaj? W wiecznie zamglonej, deszczowej Anglii zamiast w słonecznej Brazylii?

– Nawet słońce może się sprzykrzyć, jeśli jest go za dużo – zauważył. – A poza tym jestem w połowie Brytyjczykiem, toteż klimat Anglii nie jest mi obcy. Zresztą, po zimie zawsze przychodzi wiosna, czyż nie tak?

– Zgadza się. Uwielbiam wiosnę! A co cię tutaj dziś sprowadza? Zakupy? Spotkanie ze znajomymi?

– Nic z tych rzeczy. Byłem w ratuszu na wystawie poświęconej miastu. Niesamowite, ile